

# TADEUSZ KONWICKI

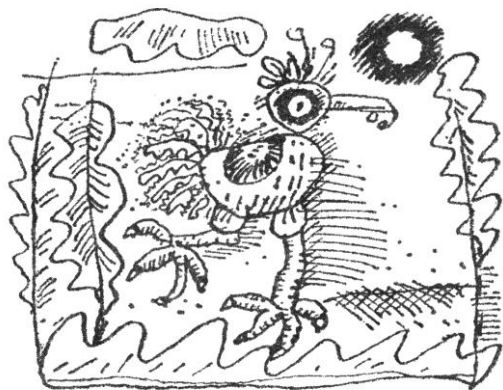


ZWIERZOCZŁEKOUPIÓR



Tadeusz Konwicki  
ZWIERZOCZŁEKOUPIÓR

Wydawnictwo Estymator  
Warszawa 2023



ISBN: 978-83-67562-51-5

Copyright © for the text by Maria Konwicka (2022)

Copyright © for this edition by Estymator Jacek Chołoniewski (2022)

[www.estymator.net.pl](http://www.estymator.net.pl)

Publikacja elektroniczna na podstawie edycji wydawnictwa Agora, Warszawa 2010,  
do której tekst, na podstawie rękopisu i wcześniejszych wydań, opracował  
Przemysław Koniecki, przywracając treści usunięte przez cenzurę

Wydanie I: Czytelnik, Warszawa 1969

Projekt okładki: Olga Bołdok

Ilustracje: Danuta Konwicka

Ta książeczka nie jest dla grzecznych dzieci. Grzeczne dzieci nic nie skorzystają z czytania moich wspomnień. Szkoda po prostu fatygi. Natomiast dzieci niegrzeczne – to zupełnie inna sprawa. Dzieci niegrzeczne znajdują w tej zdumiewającej historii wiele myśli pouczających, sporo przykładów wartościowych, a przede wszystkim dużo zrozumienia i współczucia dla ich trudnego losu. Chciałem nawet napisać: ocean zrozumienia i współczucia, ale przyszło mi na myśl, że zabrzmiałoby to właśnie jak urywek z książeczki dla grzecznych dzieci. A moje zaskakujące przygody są prawdziwe jak sama prawda, najnajprawdziwsze.

Nazywam się Piotr, bo urodziłem się tego roku, kiedy wszystkie córki chrzczono imieniem Agata, a wszystkich synów imieniem Piotr. Mój ojciec pracuje w Instytucie Lotniczym, choć zdradzał zawsze zdolności raczej muzyczne. Pragnę od razu wyjaśnić, że mój stary nie jest wcale ani kosmonautą, ani oblatywaczem aparatów ponaddzwiękowych. Coś tam robi w biurze maszyn liczących. Może po prostu dodaje albo odejmuje lub dzieli czy mnoży. Nigdy go o to nie pytam, bo jest niesłychanie drażliwy. Mama robi to, co robi każda mama: sprząta, gotuje, czasem trochę pierze i ciągle się martwi. A kiedy zostaje sama w domu, wyciąga zza szafy sztalugi, bierze się do malowania. Ojciec powiada, że to jest malarstwo nieprzemakalne, bo mama używa farb olejnych. Wszystko już chyba rozumiecie? Łatwo sobie wyobrazić taki dom. Posiadając podobnych rodziców trudno być grzecznym dzieckiem.

Przypomniało mi się, że mieszka jeszcze z nami pani Maria. Widuję ją czasem na korytarzu, kiedy idzie do łazienki, albo do kuchni poszukać jabłka. Bo pani Maria stale się odchudza. Kiedy czasem je z nami obiad, to tak nerwowo dziobie widelcem po pustawym talerzu, że lękam się, iż raptem rzuci się na półmisek z kartoflami i pożre je jednym kęsem w furii głodomora. Pani Maria nigdy się do nas nie odzywa. Przypuszczam, że nami gardzi. Pani Maria to moja starsza siostra. Chodzi do pierwszej klasy licealnej, w której uczą według nowego, eksperymentalnego programu. Nawet ojciec nie potrafi jej pomóc w matematyce. Zresztą ona nigdy nie prosi.

Moim pierwszym świadomym wrażeniem wzrokowym i słuchowym był telewizor. Od tego czasu obejrzałem już sobie parę tysięcy filmów niedozwolonych dla młodzieży. Nie piszę tego, żeby się chwalić. Chodzi mi o to, że wszystko wiem. Zresztą wcale mi nie zależy tak bardzo na oglądaniu tych filmów. Ale co mam robić. Cierpię na bezsenność, zasypiam dopiero koło jedenastej. Więc chcąc nie chcąc wysiaduję przed telewizorem, żeby nie zwariować z nudy.

Oprócz bezsenności mam jeszcze jedną dziwną wadę. Nie znoszę dzieci, a już specjalnie tych młodszych i rówieśników. Ze starszymi mógłbym się ostatecznie zadawać, ale oni nie chcą. Wobec tego zostają mi tylko ojciec i matka. Ojciec wie, że trzeba być dobrym ojcem, więc trochę z początku udaje, iż sprawia mu przyjemność zabawa ze mną, ale szybko robi się nerwowy, potem wpada we wściekłość. Mama – owszem, ale z mamą to już nie ta sama przyjemność.

Muszę sobie radzić sam. Przeczytałem już wszystkie książki, jakie są w naszym domu. Nawet „Lekarza domowego” przestudiowałem, chociaż odstręczały mnie ohydne ilustracje. Encyklopedia nie przedstawia dla mnie najmniejszego problemu. O esperanto nawet nie wspominam, bo to takie drobne i nieważne hobby.

Boję się, że jakieś głupie dziecko znowu zacznie myśleć, że ja się ciągle przechwalam. Wcale mi na tym nie zależy. Jeśli chcecie wiedzieć, to mi nawet na niczym nie zależy. Piszę o tym wszystkim tylko dlatego, gdyż to jest ważne dla dalszej historii, i to takiej historii, że wam się włosy zjeżą na głowie, że z płaczem pobiegniecie szukać mamusi, że potem w ogóle nie zaśniecie tej nocy.

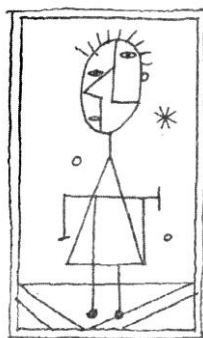
Mówiąc zwięźle, chodzi mi o to, iż okoliczności mojego losu sprawiły, że wiem wszystko. Życie nie ma dla mnie żadnych zagadek. I właściwie mógłbym już spokojnie umrzeć. Bo co mnie może jeszcze spotkać? Nic.

Przypuszczalnie nie chce wam się wierzyć w to, co piszę. Myślicie pewnie, że jestem jakimś dyrektorem, dziennikarzem, albo zgorzkniałym działaczem. Nie, jestem Piotrem, który chodzi do czwartej klasy i który w tej czwartej klasie musi umiejętnie ukrywać swoją rzeczywistą wiedzę.

Oto zresztą dowód. Mój autoportret. Narysowałem go kiedyś, kiedy zepsuł się telewizor, a mama przypięła ten rysunek pineską do szafy z bielizną.



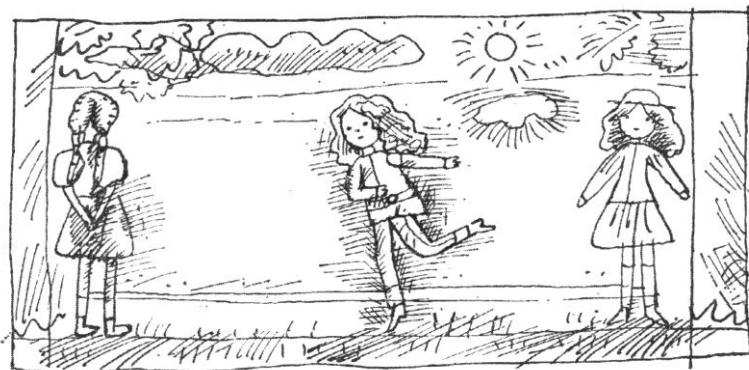
A tak widzi mnie mama w swoim nieprzemakalnym malarstwie.



Dzieciom mniej obytym zwracam uwagę, że mama jest abstrakcjonistką. Oczywiście nie wiecie, co to jest abstrakcja. Ale nie mam zamiaru wam tego wyjaśniać. W ogóle nie mam zamiaru zniżać się do waszego poziomu. Stale będę używał trudnych słów. Nic mnie to nie obchodzi. Dziś takie czasy, że dla nieuków nie ma miejsca. Zresztą możecie zajrzeć do słownika, albo zapytać rodziców, jeśli nie są nadmiernie nerwowi.

Napisałem to trochę brutalnie i zrobiło mi się was żal. Chociaż nie ma się co litować nad niegrzeczными dziećmi. Niegrzeczne dzieci winny być inteligentne, odcytane, sprytnie, dowcipne. Ale niech tam. Być może na końcu tej książeczki sporządzą ilustrowany skorowidz trudniejszych wyrażań. Lecz nie jestem tego pewien. Jeszcze się zastanowię.

Bo mam wątpliwości, czy warto iść wam na rękę ułatwiając czytanie. Historia, którą już za chwilę rozpocznę, jest tak niesamowita, tak wspaniała, tak do niczego niepodobna, że nie potrzebuję waszej łaski.



Muszę tylko jeszcze dwie sprawy wyjaśnić. Pierwsza jest dosyć drażliwa. Przeżyłem jesienią fatalną miłość. Tak, tak, miłość, a przecież jeszcze rok temu tylko filmy o miłości potrafiły mnie usnąć przy telewizorze. Trochę przykro mi o tym pisać. Ale ja jestem szczery i nie widzę powodu, żeby ukrywać dość okropny epizod w moim życiu.

Poznałem ją na sąsiednim podwórku. Grała „w gumy” z koleżankami. To takie nowe szaleństwo. Dwie przyjaciółki rozciągnęły na swoich chudych nogach zszytą tasiemkę gumowaną, a ona przeskakiwała te białe pasma według niezrozumiałych dla mnie prawideł. Prawdę mówiąc, najpierw spodobały mi się jej dżinsy, takich dżinsów jeszcze nigdy nie widziałem. Więc zatrzymałem się, aby popatrzeć. I ona wtedy na moment przerwała grę, żeby złapać oddech. Spostrzegła mnie, odgarnęła z twarzy pasmo włosów i jakoś tak gniewnie, a może nawet dumnie podrzuciła głowę. Zrobiło mi się dziwnie gorąco, nie mogłem uczynić kroku, by ruszyć do domu, gdzie mama czekała na syfon, który niosłem ze sklepu. Stałem tak aż do zmroku.

Nie będę opisywał wszystkiego. To są sprawy zbyt intymne, a dla mnie osobiście bardzo bolesne. Wszyscy wiedzieli, że ona ma sympatię na sąsiedniej ulicy. Syna jakiegoś dyplomaty węgierskiego, albo może raczej peruwiańskiego. Taki czarniawy konus, nic nadzwyczajnego. Wszyscy wiedzieli, pięć podwórek dzieci, razem trzysta sztuk bachorów. Tylko ja jeden, głupi, niczego nie wiedziałem. Domyślacie się, rzecz jasna, finału. Pewnego dnia zobaczyłem ich oboje na tej sąsiedniej ulicy. Szli liżąc bezwstydnie ogromne porcje lodów, choć już było zimno i przyzwoite dzieci nie jadały lodów. Wszystko zrozumiałem. Okrutny piorun rzeczywistości uderzył w samo moje jestestwo. To trudne zdanie, ale nie ma rady. Inaczej tego wyrazić nie potrafię. Niech wam ktoś objaśni.

Od tego momentu wiedziałem już, że świat jest bezlitosny. Straciłem resztkę złudzeń. Wyjąłem z bloku czysty karton papieru, zacząłem rysować oboje na tej fatalnej ulicy. Początkowo chciałem ich ośmieszyć. Jej (umyślnie nie podaję imienia) dorysowałem ogromny nos popstrzony straszliwą ilością piegów, a jego, tego Węgra, albo Peruwiańczyka, uczyniłem malutkim jak pewien pekińczyk naszych znajomych. Ale później zrobiło mi się trochę przykro. Nie będę się mścił. To nie oni są winni. Winne jest okrutne życie.

Więc przedstawiłem ich tak. Zupełnie prawdziwie.



Kiedy to rysowałem, naszła mnie przemożna ochota, aby złożyć przysięgę. Że nigdy, ale to nigdy do końca życia nikogo już nie będę kochał. Pomyślałem jednak, iż łatwiej jest dotrzymać takiej przysięgi, gdy się zaangażuje uczuciowo w innym kierunku. Więc rzekłem sobie w duchu: popatrzę przez okno i co zobaczę, cokolwiek by to było, pokocham aż do śmierci. Bardzo ostrożnie spojrzełem w szybę. Ale za oknem nic nie było. To znaczy nic nie było nadzwyczajnego. Zwykła pusta o tej porze uliczka i szarpiąca się z pierwszym zimowym wiatrem akacja przy pomniku pewnego pedagoga. Czekałem długo, nie wiem na co, i wreszcie zrozumiałem, że patrzę przecież na to drzewo akacji, o które wiosną była dzika awantura. Bo przyszedł wtedy jakiś staruszek z piłą ogrodniczą i zaczął odpiłowywać jeden z czterech bliźniaczych pni drzewa. Wtedy zbiegli się wszyscy mieszkańcy naszej uliczki i zaczęli protestować. Ktoś nawet zadzwonił po milicję. Ale gruby sierżant nie umiał sobie poradzić z tym staruszką, który piłował spokojnie. Potem okazało się, że to wcale nie wandal, tylko przyjaciel niezjącego pedagoga. I że trzeba odpiłować ten jeden pień, bo jest zmurszały, aby uratować całe drzewo.

Więc teraz patrząc na akację zrozumiałem, że ona jest moim przeznaczeniem. Ogarnęło mnie nawet pewne zadowolenie. Drzewo, to coś pięknego, szczególnie na wiosnę, a jednocześnie coś naprawdę solidnego. Taka akacja nie będzie się przecież wygłupiać z lodami w towarzystwie jakiegoś Węgra albo Peruwianczyka.

Od owego dnia często wyglądam oknem na moje drzewo. W początkach zimy zasnęło, ale teraz widzę, że się budzi powoli, wypuszcza brązowe pąki.

– Czego on tam wypatruje? – pyta zwykle poirytowanym głosem ojciec, kiedy patrzę w okno.

– Pewnie się nudzi – mówi mama spokojnie.

– Ja się w jego wieku nigdy nie nudziłem.

Może to i prawda. Rozumiem ojca. Ale dzisiaj inne czasy. Ojciec wierzył w krasnoludki, w bociany przynoszące dzieci; na świętego Mikołaja stawiał buciki przy piecu. A ja dysponuję nowoczesną wiedzą: czytam o matematycznej teorii gier, o polach grawitacyjnych, o materii i antimaterii, o chaosie wszechświata (mam nadzieję, że niegrzeczne dzieci przynajmniej jedno z tych zagadnień opanowały; od grzecznych niczego nie wymagam).

Dlatego jestem smutny i nie widzę sensu w tym, żeby ojciec wstawał o szóstej rano i gdzieś tam jeździł tramwajem do elektronowych liczydeł, żeby mama kępką końskiego włosia ciapkała godzinami lniane płótno, żeby pani Maria z dzikim uporem walczyła ze skłonnościami do otyłości, żebym ja miał jeszcze kilkadziesiąt strasznych lat żyć na tym świecie.

Dlatego się nudzę. Strasznie się nudzę od wczesnego rana do późnego wieczoru. Nudzę się w każdej minucie, w każdej sekundzie, a nawet w każdej chwili. Nudzę się zresztą po cichu, ukradkiem, wstydliwie, bo wszyscy mnie potępiają. Inni chłopcy

otrzymują lanie z normalnych powodów. Za wybicie okna, za spóźnienie, za brzydkie wyrazy. A ja cierpię za to, co nikomu przecież nie zagraża. Za to, że się nudzę.

Zresztą nie ma o czym gadać. Podejrzewam, iż wielu ludzi męczy się przez tę nudę. Jedni wiedzą dobrze o swojej chorobie, inni nudzą się bezmyślnie. Tak już jest. Szkoda każdego słowa. I dlatego przysięgam, że już nigdy o tym nie wspomnę. Ambitne niegrzeczne dzieci nigdy się nie skarżą.

Więc po powrocie ze szkoły patrzyłem sobie przez okno na to trójpienne drzewo akacji przy pomniczku zasłużonego pedagoga. W domu było zupełnie cicho, bo nasi sąsiedzi zaczynają hałasować dopiero o jedenastej w nocy. Przypatrywałem się tej ledwo widocznej seledynowej mgielce osłaniającej koronę drzewa i myślałem, że to już za kilka dni moja ukochana stanie się soczysto zielona, że ożyje w podmuchach wiatru wiosennego, że zaszumi cichutko nowiutkimi liśćmi. Pomyślałem również, że nie pozwolę już nigdy młodocianym chuliganom wspinać się na jej pochyłe pnie ani wycinać scyzorykiem jakichś idiotyzmów na jej delikatnej korze.

Wtedy właśnie zadzwonił telefon. Nie chciało mi się z nikim rozmawiać, więc stałem dalej przy oknie. Ale ten ktoś był uparty. Telefon dzwonił i dzwonił bez końca. Wreszcie podniosłem słuchawkę.

– Piotruś? – usłyszałem straszliwy głos potwora, czyli Cecylii.

– Chyba tak – rzekłem.

– No wiesz, ty masz zawsze kretyńskie odezwania.

Milczałem.

– Co mówisz? – wrzasnęła Cecylia.

– Nic nie mówię.

– No wiesz, to już jest bezczelność.

– Kiedy ja naprawdę nic nie mówię.

– Wezmę się kiedyś do ciebie. Zobaczysz. Już ci się zupełnie w głowie przewraca.

– Wcale mi się nie...

– Milcz. Nie mam zamiaru z tobą dyskutować. Jest mama?

– Nie.

– A ojciec?

– Nie ma.

– Dlaczego?

– Bo nie wrócił jeszcze z pracy.

Cecylia umilkła doszukując się zapewne impertynencji w mojej odpowiedzi.

Słyszałem wyraźnie jej wściekły oddech.

– Ach tak! – krzyknęła. – To dobrze.

Rzuciła słuchawkę z taką mocą, że urządzenie telefoniczne jeszcze dłuższy czas podzwaniało ze skargą, skrzypiało, a nawet chyba wzdychało.

Już wam nie muszę przedstawiać Cecylii. Ale opiszę jednak jej wygląd, bo to chyba ważne. Przyjaciółka mojej matki, Cecylia, jest pewnie starą panną, choć często i dość obszernie opowiada o swoim mężu, który umarł przed laty, chyba w tym czasie, kiedy urodziła się pani Maria. Jest wysoka, szczupła, nosi krótko przystryżone włosy. Cała jej despotyczna wściekłość mieści się w oczach, bardzo bystrych, ruchliwych i z jakimiś dziwnymi błyskami. Jej niewielka, rumiana twarz przypomina dawne portrety. Cecylia twierdzi, że jest podobna do takiego słynnego malarza Van Gogha. Ale mnie się wydaje, iż raczej przypomina fizjonomią Judasza z obrazu, który się nazywa „Ostatnia wieczerza”. Chyba jestem niesprawiedliwy. W Cecylii nie ma Judasza, w niej siedzi dziki potwór. Wszyscy o tym wiedzą i chcą jakoś złagodzić to straszne wrażenie. Dlatego mama powiada często: – nasz rozkoszny potwór.

Z uczuciem przykrości wróciłem do okna. Kilku chłopców jeździło na rowerach po mokrym asfalcie. Jakiś szofer wychylił się z auta i coś im wymyślał. Nieliczni



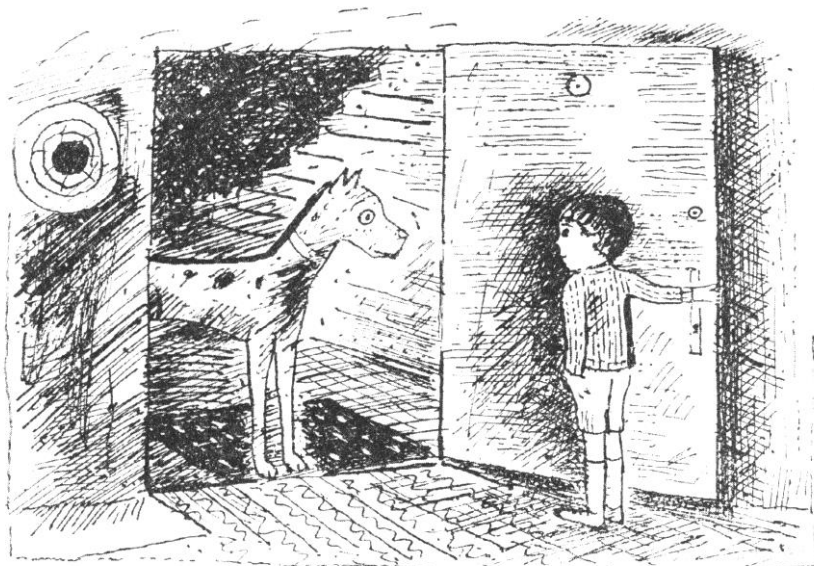
przechodnie śpieszyli chodnikiem otulając się letnimi płaszczami przed chłodem. Pewnie żalowali, że dali się nabrać wczoraj Wicherkowi, który przepowiadał nadzwyczajne upały. Pomyślałem sobie z dodatkową przykrością, że dzisiejszy program w telewizji zapowiada same nudy, i w tym momencie odezwał się gong przy drzwiach.

Poszedłem bez pośpiechu do korytarza, otworzyłem. Przede mną stał dog, ogromny pies, chyba nawet wyższy ode mnie. Stał nieruchomo, nawet nie zamachał ogonem. Patrzył na mnie wielkimi oczami pozbawionymi białek, w których mieniło się sinawo. Pierś miał szeroką jak kredens. Stał rozkraczony na potężnych łapach i przyglądał mi się badawczo. Trochę rozczarowany chciałem już zatrzasać drzwiami, lecz on nagle ni z tego, ni z owego odezwał się grubym, trochę zachrypniętym głosem:

- Są rodzice w domu?
- Nie. Nie ma – odparłem zaskoczony.
- To klawo.

I wszedł do korytarza potrącając mnie bezceremonialnie twardym, mocno poźebrowanym bokiem.

- Co jest? – zabelkotałem.
- W porządku, stary – rzekł dog i ruszył do pokoju.



Obwąchał z przyzwyczajenia sprzęty, koło stolika z telewizorem nawet trochę podniósł tylną nogę, lecz się opamiętał.

- Fajnie mieszkanie – stwierdził. – Ale zimno jakoś.
- Przestali palić w kaloryferach – powiedziałem machinalnie.

Podszedł do mnie i znowu przyglądał się chwilę w milczeniu. Grube, czarne wargi miał zaślinione, co odbierało mu trochę powagi.

– Przypominasz sobie teraz pewnie takie różne książeczki, w których zwierzątka, albo jakieś wspaniałe osobistości przychodzą nocami do wrażliwych, niezrozumianych przez otoczenie dzieci, co?

- No właśnie. Takie mi się nasuwają skojarzenia.
- Stary, to nie to. Ja z interesem.
- Słucham uważnie.

– Ty, nie ironizuj, stary – wykrzywił czarne wargi z niechęcią. – Ja nie pocieszam głupawych dzieci. Ja jestem pies-wynalazca. Mówię otwarcie: pies-wynalazca.

W tym momencie trochę się przestraszyłem. To był jednak kawał byka. Ważył nie mniej niż siedemdziesiąt kilo. Nawet teraz, kiedy stał nieruchomo, pod rdzawą skórą chodziły twarde węzły mięśni. Uśmiechnąłem się z przymusem.

– Milczysz? – spytał tak niskim głosem, że aż szyby zadzwoniły. – Pewnie myślisz, że zwariowałem?

Ale ja myślałem tylko rozpaczliwie i bez sensu: czy on jest szczepiony, czy on jest szczepiony?

– Dlaczego nie? Zdarza się.

– Co się zdarza? – spytał nieufnie.

– No wynalazki. Że się coś nagle odkryje.

– Otóż to, stary. Mam na ciebie dawno oko. Możesz wejść do spóły. Chcesz?

– Owszem. Dlaczego nie?

Tak był zaaferowany swoją misją, że nie zwrócił nawet uwagi na mój brak entuzjazmu. Zesunął dwa fotele i sam ulokował się niezgrabnie na jednym z nich.

– Siadaj – powiedział krótko.

Usiadłem naprzeciwko.

– Ale co to będzie?

– Nie pytaj. Wszystko zrozumiesz na końcu.

Kiedy siedział tak niezdarnie na własnym ogonie, kiedy obsuwały mu się co chwila z poduszki koślawe nogi, kiedy przednią łapą usiłował zakryć wklęsnięty brzuch, zachciało mi się raptem śmiać. Ale on patrzył mi intensywnie w oczy i zobaczyłem teraz cienkie pasemka białek wokół kasztanowych tęczówek.

– Jesteś gotów? – spytał cicho.

– Jestem gotów – rzekłem i zrobiło mi się nieswojo.

– W porządku, stary.

Patrzyliśmy sobie w oczy coraz intensywniej. Powoli okna za jego głową straciły kontur, stały się dwiema owalnymi plamami światła, które niepostrzeżenie gasło. W ogromnej ciszy postłyszałem daleki odgłos bełtanej wody, jakby gromada chłopców brnęła przez płytką rzekę. Uczyniło się zupełnie ciemno i nagle zdjął mnie strach, że straciłem wzrok. Chciałem krzyknąć, zerwać się z fotela, szukać ratunku, ale wtedy właśnie wyczułem raczej niż zobaczyłem powstające światło, rzadkie, chude światło wczesnego świtu.

Zacząłem rozróżniać jakieś dziwne kontury, strzępiaste, agresywnie szarpiące się w moją stronę. Lecz to były tylko bujne, nigdy nietrzebione krzaki olszyn. Wkrótce zobaczyłem niebo namydłone cieniutko obłokami, usłyszałem gadanie rzeki płynącej po wielkich głazach.

Siedziałem na brzegu wąskim i kamienistym. Wokół pełno było traw bujnych, których nigdy przedtem nie widziałem, jakichś kwiatów we wszystkich kolorach, jakichś tasiemcowych powojów wplątanych w gęste olszyny, jakichś żółtozielonych girland z białawymi szyszeczkami, które przypominały chmiel i mogły być właśnie dzikim chmielem.

Chłód ciągnął od wody, więc wspiałem się na niewysoką skarpe. Znalazłem się na wielkiej łące porośniętej gęsto zielskiem, którego kwiaty wyglądały jak kępki bielutkiej bawełny. Zobaczyłem dziwną i bardzo zieloną dolinę. Za mną, za rzeką wspinał się stromo ku niebu las dębowy. Przedemną był ogromny i łagodny stok wzgórz zwieńczonych pasmem świerkowego lasu i wysoką wieżą kościelną. Gdzieś pośrodku tego stoku czerwieniła się sterta dachów. Widocznie przebiegała tam linia kolejowa, gdyż spostrzegłem pełznący poziomo pióropusz szarego dymu, a potem

schrypnięty krzyk lokomotywy spłynął ku rzece. Z prawej strony zamykało dolinę rumowisko białych kamieni – dalekie miasto przesłonięte drgającym od upału powietrzem. Z lewej strony dolina kończyła się ogromnym, topolowym parkiem ukrywającym jakiś złocisty gmach, który wydał mi się starym dworem.

– Jakie pierwsze wrażenie? – usłyszałem basowy głos.

Wielki dog leżał na brzuchu w soczystym zielsku i dyszał śpiesznie. Kapka śliny zwisała mu z czarnego pyska. Ta skłonność do wilgoci w pysku trochę go jednak ośmieszała.

– Gdzie my jesteśmy? – spytałem cicho.

– Gdzieś we wszechświecie, stary.

– Wydaje mi się, że skądś znam tę zieloną dolinę.

Spojrzał na mnie zmrużonymi ironicznie ślepiami.

– Może przyjeżdżałeś tu na lotnisko?

– My jeździmy nad morze. Ja potrzebuję jodu. Kiedyś strasznie chorowałem.

Spostrzegłem teraz kilka krów pasących się pod kępą olszyn. Jacyś chłopcy, pewno pastusi, rzucali kamieniami w rzekę pełną cieniów. Bo słońce wisiało już nisko nad kamiennymi tarasami dalekiego miasta. Światło było mocno ukośne i podbite intensywną czerwienią.

Ktoś gdzieś śpiewał przeraźliwie, gardłowym, rozlewnym głosem. I zrobiło mi się jakoś nieswojo, po prostu strasznie.

– To co, będziemy wracali? – spytałem.

Pies wstał, przeciągnął się ziewając.

– Dokąd?

– Do nas, do domu.

– Coś ci najpierw pokażę.

I ruszył ciężkim krokiem przez łąkę. Rozdeptałem szybko ciepłe kretowisko. Na tej piaszczystej tabliczce narysowałem prymitywny plan doliny i drogę powrotną. Dog stanął, obejrzał się nieufnie.

– A co ty tam majdrujesz?

– Nie, nic takiego. Świeże kretowisko znalazłem.

Zza czerwonych dachów osady wytoczył się znowu kłęb dymu. To pociąg po krótkim postoju ruszał w dalszą drogę. Ale był to dziwny pociąg, jakiego nie znałem. Przypominał trochę kolej ze starych obrazków z książek dla młodzieży.

Szliśmy ciągle jeszcze łąką. Spory ptak zerwał się raptem z gąszczy trawy i łomocąc skrzydłami poleciał ciężko w stronę rzadkiego lasu sosnowego nad wielkim piaszczystym urwiskiem. Dog rzucił się w pogoń, później zawrócił i szukał dłuższą chwilę czegoś w pachnącym miętą zielsku. Kichnął parę razy, ale gniazda nie znalazł. Trochę zawstydzony doszłusował do mnie.

– Byłeś tu już kiedy? – zapytałem.

– Oczywiście. Znam każdą ścieżkę.

– A dlaczego mnie zabrałeś ze sobą tym razem?

Olbrzym pomilczał chwilę, potem rzekł z niechęcią:

– Później się okaże. Troszkę cierpliwości, stary.

Właśnie przecinaliśmy polną drogę, gdy z jakichś zarośli, i to chyba dzikiej róży, wytoczył się spory kurczak. Pióra na piersi miał poplamione jakby sosami, nieporządnie złożone, chude skrzydła. Do niechlujnego dzioba przylepiło się mnóstwo ziarenek żyta albo jęczmienia. Szedł chwiejnie, bielma na oczach opadły mu beznadziejnie i dziwne było, że nie zbacza w tym stanie z ledwo widocznej drogi.

– To Cipun – rzekł ze wstrętem dog. – Za dworem jest browar. On tam żeruje na śmietniku pełnym wytłoczyn. Ohyda.

Dopiero teraz usłyszałem, że Cipun coś śpiewa. Może nie tyle śpiewał, co raczej pojękiwał zmęczony trochę upałem, albo daleką drogą. Minął nie zauważając nas wcale.

– Trzymaj się od niego z daleka – rzekł dog stłumionym głosem. – To znany nicpoń. Jeszcze o nim usłyszysz.

Stanęliśmy wkrótce przed wielką bramą żelazną. Widać stąd było żużlową alejkę i gazon przed starym, złocistym dworem. Na trawniku ktoś siedział pod kolorowym parasolem i czytał gazetę.

– Ta brama jest zawsze zamknięta – rzekł cicho dog. – Chodźmy z innej strony.

Ruszyliśmy wzdłuż wysokiego ogrodzenia z metalowych prętów czerwonych od rdzy. Krzaki bzu i jaśminu przesłaniały nam widok. Brnęliśmy przez wysoką trawę podobną skarłowaciałemu zbożu. Olbrzymi dog ginął mi od czasu do czasu z oczu wśród burych kłosów tej nieznannej trawy. Jakiś ptak z ogromnym ogonem przemknął nad nami. Domyśliłem się, że to pewnie bażant. Bo tylko bażanty powinny żyć w takich ogrodach.

Pies zatrzymał się raptem, nastawił czarnych uszu.

– Co się stało? – spytałem.

– Cicho – zasyczał i poruszył skórą na grzbiecie, bo obsiadły go jakieś muszki. – Zaraz coś się stanie.

Trwaliśmy tak dłuższą chwilę nieruchomo. Dzwoniły cieniutko komary, jakiś ptak podśpiewywał w bzach. Nigdy jeszcze nie słyszałem słowika, ale tak śpiewać mógł tylko słowik.

Nagle coś szurnęło w krzakach i pod pręty ogrodzenia z drugiej strony podtoczyło się białe kółko z leszczyny. Odbiło się od niskiej podmurówki, zakolebało się między przekwitłymi kaczeńcami, upadło.

Spojrzałem pytająco na psa. Uniósł przednią łapę, dając mi znak, żeby się nie odzywać. Posłyszałem szybkie i leciutkie kroki. Ktoś przedzierał się przez krzaki. To tu, to tam szamotały się gałęzie. Zrozumiałem, że ten ktoś szuka kółka z leszczynowej różgi.

I nagle zobaczyliśmy przed sobą dziewczynkę ubraną zupełnie na biało. Miała białą sukienkę, białą wstążkę we włosach, białe skarpetki i pantofle. W ręku trzymała biały mieczyk z leszczyny. Pochyliła się, aby podnieść kółko. Ja skądś znałem tę grę, gdzieś o niej czytałem, widziałem nawet chyba obrazki przedstawiające zabawę w serso. Partner rzuca kółko i trzeba je zręcznie nanizać na ten cieniutki leszczynowy mieczyk, albo raczej może szpadę.



Kiedy podniosła to kółko, spostrzegła nas, stojących nieruchomo za ogrodzeniem. Zamarła w pół ruchu, patrzyła na nas w jakimś osłupieniu i widać było, że chce uciec, ale nie może. Coś ją przytrzymywało z ogromną siłą. A ja przez króciutki moment pomyślałem, że to te przeraźliwie czarne oczy psa-wynalazcy.

– Ewuniu! – ktoś krzyknął od strony złocistego dworu.

Otworzyła usta. Czerwony blask słońca leżał na jej głowie, pożerał z wolna białą wstążkę.

– Ewuniu, gdzie jesteś?

Spojrzała króciutko w tamtą stronę, ale nie mogła jednak uczynić nawet jednego kroku. Odezwwał się daleki dzwon z dalekiego kościoła na wzgórzu.

– Ewuniu!

Ktoś brnął przez jaśminy w naszą stronę. Z czarniawej zieleni wynurzył się nagle chłopiec dosyć dziwnie przebrany. Miał spodnie, tak zwane pumpy, zapinane pod kolanem, których już dziś nikt nie nosi. Takich kraciastych skarpet i swetra również nigdy nie widziałem. W ręku trzymał cienki mieczyk, albo raczej szpadę z białego prętu leszczyny.

Zrobiło mi się strasznie gorąco i nagle poczułem, że noga moja, którą oparłem o podmurówkę, zaczyna, gwałtownie dygotać. Tak straszliwie dygotać, jakby chciała się oddzielić ode mnie, oderwać na zawsze.

Ten chłopak w pumpach to byłem chyba ja. Dosłownie ja sam, tak jak siebie znam i pamiętam z przeglądania się w lustrze. A więc ja przebrany w pumpy i kraciasty sweter patrzyłem chmurnie na siebie stojącego z psem-wynalazcą po drugiej stronie żelaznego ogrodzenia.

– Ewuniu – powiedział chłopak w pumpach – oni cię chyba nie zaczepiają, prawda?

Ona potrząsnęła głową przecząco. Czerwone światło zachodzącego słońca spłynęło już z jej włosów.

– Wracaj, tu strasznie chłodno – pociągnął ją za rękę, pchnął w stronę krzaków.

A kiedy osłoniła ją zieleń, zbliżył się do metalowych sztachet.

– Żebym was tu nigdy więcej nie widział, słyszycie? Bo następnym razem przyjdę z flowerem.

I zniknął znowu w krzakach bzu.



- On jest zupełnie do mnie podobny – powiedziałem z trudem, przelękając ślinę.
  - Tak myślisz? – rzekł dog-wynalazca. W głosie jego wyczułem jakąś nutę fałszu.
  - Może ci się wydaje. Ja nie widzę specjalnego podobieństwa.
  - Naprawdę. Spociłem się nawet z wrażenia.
  - Ee tam – bagatelizował dog. – Jesteś zmęczony. Mogło ci się przywidzieć.
  - A kim jest ona?
  - On ją więzi w tym dworze. Widziałeś, że brama zamknięta na wielką kłódkę.
  - A dlaczego więzi?
  - A dlatego. Po prostu trzyma w niewoli.
  - Ona ma takie długie włosy, prawie do pasa. Nigdy nie widziałem takich włosów.
  - No właśnie. Ty ją uwolnisz, stary.
  - Ja?
  - Tak, ty.
  - A gdzie my jesteśmy?
- Powietrze gęstniało, z chłodnej ziemi wstawał mrok. Gdzieś niedaleko szumiała bełkotliwie rzeka.

KONIEC BEZPŁATNEGO FRAGMENTU

ZAPRASZAMY DO ZAKUPU PEŁNEJ WERSJI